

Ponglish jest ok

Pamiętacie serię memów „Angielski z Tuskiem”? Bawiły mnie do łez i kompletnie nie chodziło o osobę pana przewodniczącego. Internauci tak kapitalnie przerabiali polskie przysłowia i idiomy, że można się było popłakać ze śmiechu. Nie wiem, czy nie mieli litości dla pana Tuska, ale na pewno nie mieli litości dla naszego cudownego języka. Stwierdzenie SOMETHING IS NO YES, czyli literalne COŚ JEST NIE TAK, weszło już na stałe do bazy moich ulubionych powiedzonek.

Punktem wyjścia było nieśmiertelne i znane na długo przed „Angielskim z Tuskiem” THANK YOU FROM THE MOUNTAIN TOP, czyli Z GÓRY DZIĘKUJĘ. Wykorzystanie podwójnego znaczenia słów to zresztą częsty zabieg w tych żarcikach językowych, jak na przykład w fantazyjnym tłumaczeniu tytułu filmu CZY LECI Z NAMI PILOT, czyli IS THE REMOTE CONTROL IS FLYING WITH US? ☐



Ale jak mawiają najstarsi twórcy memów SCIENCE DIDN'T GO TO THE FOREST, czyli NAUKA NIE POSZŁA W LAS, więc Polak w ciemię bity nie jest i sobie z angielskim zawsze poradzi. Nie będzie byle język nam ust sznurował. 0!

Pół biedy, jeśli eksperymenty językowe przebiegają na naszej pięknej, polskiej ziemi (do czego jeszcze potem wrócimy), ale za granicą to sprawa już się trochę komplikuje. Zwłaszcza, gdy

delikwent wyjeżdża w celach osadniczo-zarobkowych kompletnie nie znając języka tubylców. Ale spokojnie. Polak w takich sytuacjach również sobie świetnie poradzi stosując niezawodną metodę wolnego mówienia i starannego akcentowania. Oczywiście nie angielskich a polskich słów □

Legendarną twórczynią tejże metody była moja znajoma. Zaznawała rozkoszy emigracji do kraju anglojęzycznego w 2005 roku, kiedy Polacy szturmowali wyjeżdżali za pracą i jako pierwsi osadnicy mieli z wszystkim pod górkę.

Nie było urzędników mówiących po polsku, menu w restauracjach tylko w tym dziwnym angielskim języku a przede wszystkim nie było sklepów z polską żywnością. I to był dopiero dramat! Człowiek sobie nawet nie zdaje sprawy jak mocno jego polskie serce jest związane z kapustą kiszoną a myśl o polskich parówkach wyciska z oczu łzy nostalgii. W skrócie mówiąc Polakowi na emigracji jest potrzebne polskie żarcie. Teraz sprawa jest prosta, bo na każdym rogu angielskiej albo irlandzkiej ulicy można znaleźć polski sklepik albo chociaż monopolowy z polskimi wyrobami prowadzony przez Pakistańczyka, ale wtedy, te trzynaście lat temu, kraje anglojęzyczne były jałową pustynią jeśli chodzi o kapustę kiszoną i inne niezbędne Polakowi do życia produkty.

Jakże więc zelektryzowała niewielką Polonię w pewnej prowincjonalnej miejscinie wiadomość, że lokalny supermarket wprowadza skromny asortyment polskich produktów. Świętym graalem była kiszona kapusta w litrowych słoikach. Każda szanująca się Polka biegła więc po kapustę. Moja znajoma naturalnie także. Zamotała się przy wejściu biduła i regału z kapustą za nic nie mogła znaleźć. Gdyby chodziło o coś innego, to pewnie by zrezygnowała, ale heloł? Mowa o kapuście kiszonej! Po obleceniu sklepu kilka razy dookoła znajoma zrozumiała, że nie uda się bez wsparcia. Namierzyła między regałami pracownika i zaczęła energicznie gestykułować, co jak wiemy bardzo pomaga w komunikacji □

– Polska żywność? – zapytała uprzejmie.

Pracownik pokręcił głową sygnalizując, że niestety nie rozumie.

– P-O-L-S-K-A Ż-Y-W-N-O-Ś-Ć?

Pracownik dalej nic nie kumał, więc znajoma przekombinowała sobie w głowie, że pewnie „żywność” to za trudne słowo dla prostego Irlandczyka.

– P-O-L-S-K-A P-Ó-Ł-K-A? – zapytała więc z nadzieją w głosie.

W oczach znajomej zapewne było tyle desperacji, że pracownik strzelając w ciemno, zaprowadził nieszczęsną do wyśnionej kapusty kiszzonej. I to, moi drodzy, już na zawsze utwierdziło dziewczynę w przekonaniu, że wystarczy mówić wolno i wyraźnie po polsku a każdy obcokrajowiec elegancko zrozumie o co chodzi.

W Polsce rzecz ma się nieco inaczej. Tutaj nie ma obowiązku znać języka angielskiego, ale trzeba oddać sprawiedliwość naszym rodakom, że jeśli tylko mogą to starają się być uczynni i pomocni w stosunku do obcokrajowców. Nawet jeśli tłumaczenie turyście, dokąd ma iść oznacza machanie rękoma jak wiatrakami. Nie mamy żadnych kompleksów i chętnie nawiązujemy konwersację. I tu dochodzimy do drugiego sposobu mówienia po angielsku, czyli skoro znam czasowniki to niech rzeczowników domyśli się Anglik. Lub odwrotnie ☐

Piękną scenę rodzajową zaobserwowałam dosłownie kilka dni temu w Rossmanie. Jakiś cudzoziemiec miał problem z wyborem kosmetyków i uczynna ekspedientka bardzo starała mu się pomóc. Gestem i czynem. A potem mową i uczynkiem ☐ Ponieważ klient nie do końca chyba właściwie intepretował gorączkowe machanie głową, więc dziewczę powiedziało: THIS IS NOT CREAM! THIS IS PIANKA!

A to i tak jeszcze nic w porównaniu z tym co z wyrabia z

naszymi językami stres ☐

Taki jeden facet pracował w międzynarodowej firmie a konkretnie w jej polskim oddziale. Angielskim władał całkiem znośnie, dopóki się biedak nie zestresował. Pewnego razu z wizytą do polskiej placówki przyleciał szef wszystkich szefów i przyjaznym tonem, po angielsku rzecz jasna, pochwalił faceta za dobrze wykonaną pracę. A ten pokraśniał i go z wrażenia zatkało a potem trzęsącym się z nerwów głosem wydukał: FUCK YOU VERY MUCH! ☐

Także, co ja tam chciałam? A! To ja się gudbaj z państwem ☐

Co ma piernik do Matiza

Niedawno spotkałam się ze stwierdzeniem, że podobno Krakusy to Poznaniacy wygnani z Pyrlandii za rozrzutność ☐

Wprawdzie nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, bo większości moich krakowskich znajomych kasa się raczej nie trzyma, ale nie o tym felieton, zatem przejdźmy do rzeczy.

Między byciem kutwą, a utracjuszem jest dużo miejsca i gdzieś tam na pewno się plasuję, acz mam na swym koncie nieliczne finansowe fanaberie, kiedy to świadomie przepłaciłam, płacąc cenę z kosmosu. Trzy razy. Włoskie kozaki, kafelki do kuchni oraz czajnik. Ten ostatni tak mnie zachwycił, że mniej więcej w okolicach roku 1999 zabuliłam za niego chyba ze cztery stówki. Trzeba upaść na głowę, ale i prezent „kochanej sobie ja” raz na jakiś czas można przecież zrobić, prawda? A on był taki czadowy... Matowy inox, ciemnoszare wykończenia i fikuśnie

zakręcana pokrywka. Co prawda czajnik ów pewnego wieczora doprowadził do zwarcia i o mały włos wszyscy nie poszliśmy z dymem, ale nie o tym chciałam.

Ech, te moje dygresje □

Otóż w okolicy milenium, pewnego kwietniowego dnia, kiedy nareszcie wyszło upragnione słońeczko i zrobiło się ciepło, jadąc moim turbo odrzutowym pojazdem marki Daewoo Matiz, poczułam we wnętrzu nieprzyjemny zapach. Wiedziona węchem, zawędrowałam pod maskę. Niestety. Jakiś szczur widać postanowił dokonać tam żywota i patrząc na jego stan (tu oszczędzę szczegółów), musiało być to dość dawno temu. Trzęsąc się z obrzydzenia i udając palpitację serca, pobiegłam po pomoc do sąsiada. Biedny chłop. Cóż miał zrobić? Wyrzucił co się dało, ale ślad po nieboszczyku pozostał.

Zawsze miewałam odkrywcze pomysły, więc również i tym razem wykazałam się kreatywnością, i aby osobiście nie dotykać miejsca szczurzego zgonu, wytaszczyłam z piwnicy karchera. W ostatniej chwili oprzytomniałam i poszłam po rozum do głowy, że samochodowa elektryka może nie przeżyć tak szeroko zakrojonej akcji oczyszczającej, i jak człowiek, poszłam po wodę z solą. Zagotowałam wrzątek, posoliłam i z parującym czajnikiem wróciłam na podjazd. Spróbowałam połączyć. Woda ledwie ciurkała, a wypadałoby porządnie chlupnąć, więc zdjęłam pokrywę, chlupnęłam i dokończyłam czyszczenia. Zadowolona z akcji zostawiłam otwartą maskę, żeby wszystko elegancko się wysuszyło i wróciłam do domu.

Niedługo po tym wpadł do nas kolega. Posiedział z godzinkę, a jak już wychodził poprosiłam, żeby po drodze zatrzasnął mi maskę w samochodzie.

Nazajutrz o ósmej rano umówiona byłam u mechanika na wymianę klocków hamulcowych, co to mi je dzień wcześniej jakiś zdolny artysta założył nie tak jak potrzeba, więc w pośpiechu zignorowałam męża mego, który z braku pokrywki na czajniku

uznał, że kolega zapewne nam ją, mówiąc oględnie, dmuchnął.

– Nie dmuchnął, tylko leży na trawniku przy podjeździe – rzuciłam przez ramię i spóźniona pobiegłam do auta. Po drodze spojrzałam na trawnik, ale nie znalazłszy pokrywki pojechałam do warsztatu.

Mniej więcej wtedy wprowadzono w tamtym ASO wkurzający przepis, zabraniający klientom wchodzenia na halę napraw, więc poirytowana, że nie mogę doglądać naprawy, a pewnie znów coś sknocą, zrobiłam sobie kawę i zasiadłam w poczekalni. Przeczytałam jakąś gazetę o samochodach i z nudów oddałam się myślom o czajniku, a w szczególności o pokrywce. W głowie odtworzyłam sobie całą akcję i naraz doznałam olśnienia.

– Wiem! Kurczę! Wiem! Odkręciłam ją i położyłam ją obok. Na filtrze powietrza! Matko, a to taki drogi czajnik! – pomyślałam ogarnięta paniką i mając gdzieś zasady, sforsowałam drzwi do warsztatu. Chyba w oczach musiałam mieć obłęd, bo nikt nie ośmielił się zwrócić mi uwagi. Szef zmiany nawet się nie zająknął.

Na hali obraz mym oczom ukazał się przedni.

Tu należy nadmienić, że kolor wykończeń tudzież rzeczonyj pokrywki na moim bajeranckim czajniku, idealnie wprost odpowiadał kolorowi plastików występujących w Matizie, Nubirze i w niektórych wersjach Lanosa. No wypisz wymaluj 😊

Pewna, że na tysiąc procent po drodze zgubiłam nieszczęsną pokrywkę, z bijącym sercem poszukałam stanowiska. Nie było to trudne. Wokół mojego auta zgromadzili się chyba wszyscy mechanicy w tej zmiany. Było ich co najmniej dziesięciu. Z namaszczaniem przekazywali sobie tajemniczy przedmiot z rąk do rąk i komentowali fachowo.

Zanim z rozwianym włosem dobiegłam, mych uszu doszło:

„Od czego to, kurwa, jest? Od wlewu chyba nie... Może to jakaś

starsza wersja? Od Nubiry może... Mamy tu jakąś? A zbiornik na płyn do spryskiwacza sprawdziłeś? Może to stamtąd? Nie wiem, stary... Naprawdę, kurwa, nie wiem...”.

Szczęśliwa, z ulgą przejęłam zgubę.

– Och, jak to dobrze, że się znalazła! – zaszcebiotałam uradowana. – Bałam się, że mi wypadła po drodze!

Mężczyźni zamilkli i tylko spojrzeli na mnie dziwnie.

– Ale od czego to jest? Bo my tu główkujemy od kwadransa, z jakiego to auta? – zapytał jeden.

– No jak to, od czego? Od czajnika przecież! – powiedziałam z tryumfem i spokojnym krokiem poszłam do poczekalni dopić kawę, i już na luzie przeczytać kolejne motoryzacyjne czasopismo.

Kurtyna 😊

Szeptucha 13

– Jeszcze tylko kilka schodków – wysapała babka.

– Miau!

– Łatwo ci, kocie, powiedzieć! Nie ty mnie po schodach dźwigasz!

– Miau!

– Toć mówiłam, że jak czas stoi, to i elektronika wszelka zamiera. Gadaj se zdrów, a winda i tak nie pojedzie – zirytowała się Szeptucha. – Z kosza, leniu, wyłaź, i po schodach na łapach idź!

Kot prychnął ze złością, ale usłuchał. Zaczął wbiegać z gracją po kolejnych stopniach. Szeptucha spoglądała zazdrośnie na zwierzaka i sapiąc parła w górę.

Korytarz drugiego piętra sprawiał wrażenie przytuliska dla trędowatych w prowincjonalnej kambodżańskiej wiosce z lat pięćdziesiątych minionego stulecia. Na odrapanych, przedpotopowych łózkach zastygli odarci z prywatności pacjenci. Środkiem migały filuternie przybrudzone płytki PCV, pamiętające zapewne pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II. Szeptucha sentymentalna nie była, a omijanie kolejnych łóżek wprowadziło ją wyłącznie w stan irytacji.

– Kocie! – zadysponowała. – Szukaj Jaśka.

Mruczek przystanął i spojrzał z wyrzutem na babkę. Jaśka nie znał i wywąchać zguby nie miał jak.

– Mruczek, to ten sam, co z wizji na Zrębinach. Andzię wspomnij.

Kot wzdrygnął się na wspomnienie lasu i zrębinowych duchów. Powęszył chwilę i z nagromadzenia złych zapachów wyłowił trop chłopca, który uniknął rzezi w leśniczówce. Po chwili ruszył w stronę białych drzwi. Zatrzymał się pod nimi i usiadł, zamiatając ogonem linoleum. Babka chwyciła za klamkę i weszła do środka. W sali szpitalnej stały trzy łóżka. Pewnie byłoby ich więcej, ale pomieszczenie, niewiele większe od schowka na miotły, mogłoby nie pomieścić kolejnych. W ustawionym pod oknem leżała dziewczyna, a obok niej na metalowym, szpitalnym taborecie siedział siwy i bardzo szczupły mężczyzna w kitlu lekarskim.

– To on! – zatarła z radości ręce babka. – No patrz, kocie, jakżeśmy to wszystko zgrabnie połączyli!

– Miau! – ostrzegł kocur, wskakując ponownie do kosza.

– Tak, wiem, zakłęcie się zaraz wyczerpie.

I rzeczywiście, przebywające w pokoju osoby jakby zaczęły się wybudzać z głębokiego snu. Atmosfera, wcześniej gęsta niczym smoła, rozrzedzała się z każdą chwilą. Siedzący na taborecie lekarz powiódł po intruzach obojętnym, niewidzącym spojrzeniem, by zaraz cofnąć wzrok i odnotować niespodziewaną materializację jakiejś staruszki z kotem wyglądającym z wiklinowego kosza.

– Kim pani jest? – zapytał zdumiony. – To nie jest pora odwiedzin, a na teren szpitala nie można wprowadzać żadnych zwierząt!

– Jaśko? – bardziej stwierdziła niż zapytała Szeptucha.

– Kim pani jest? – powiódł lekarz, podnosząc się gwałtownie ze stołka.

– Cichaj, synuś – cmoknęła stara z dezaprobatą. – Prawie rodzina jestem, boć twój tatulo za mną bardziej w szkole niż za twoją matką ganiał, no ale wyszło, jak wyszło.

– Szanowna pani, ja jednak nalegam, żeby pani opuściła salę i nie zakłócała spokoju pacjentek – odparł stanowczym głosem lekarz.

– Jaśko, ja tu niczyjego spokoju zakłócać nie zamierzam. A co temu dziewczątku dolega?

– Tajemnica lekarska!

– Oj tam, zaraz tajemnica – zirytowała się Szeptucha. – Jak co komu za skórę wlezie, to krygować się nie ma czasu.

Lekarz westchnął ze zrezygnowaniem, i ponieważ miał głęboką świadomość faktu, że nie znajduje się w amerykańskim serialu, tylko w polskim szpitalu, a ochrona obiektu w tym drugim przypadku składała się wyłącznie z pana Miecia, więc na wszelki wypadek postanowił nie stawiać sprawy na ostrzu noża i współpracować z wariatką.

– Oleńka czeka na przeszczep serca – wyjaśnił. – Hospitalizowana przez większość swojego szesnastoletniego życia.

– Prawnuczkę w tym wieku mam. Aurelka się zowie – zafrasowała się babka, nie zdradzając bliższych związków z imieniem tej małej.

– Dziecko jeszcze, a wycierpiała tyle, że niejeden stary by nie podołał. – Lekarz wbrew sobie poczuł sympatię do starej wariatki.

– Jaśko – powiedziała miękko Szeptucha. – Ja podług twojej matuli do ciebie przyjechałam. Bom jej obiecała, że cię znajdę, ale to poczekać może. Obaczę pierwej, czy Oleńce pomóc mogę.

– Jak to matuli? O czym pani mówi? – zdenerwował się lekarz. – Moja matka od lat na Powązkach...

– Nie adopcyjna, chłopcze, ino prawdziwa.

– Skąd pani wie?

– Wiem Jaśko, po prostu wiem. Posuń się i chorą daj obejrzeć.

Działając pod wpływem szoku i delikatnego zaklęcia oszołamiającego, siwy profesor odszedł kilka kroków od łóżka, ustępując miejsca dziwacznej staruszce. Ta podeszła do obojętnej na wydarzenia i bledziutkiej Oleńki, i zaczęła wodzić dłońmi nad jej klatką piersiową.

– Słabiutko bije – stwierdziła babka.

– I z dnia na dzień gorzej – westchnął lekarz.

– Wzmocnić ją można trochę. Zaszepcam chorobę, ale bez przeszczepu się nie obejdzie – potwierdziła lekarską diagnozę stara.

– Szeptucha? – zdziwił się profesor.

- No przecie.
- W Warszawie?
- Toż przecie mówię, że do ciebie z daleka przyjechała.
- Powiedzcie, możecie jej pomóc?
- Oleńce? A mogę wzmocnić, jak mówiłam.
- To odprawiajcie swoje modły, jej każda pomoc wskazana. Ja idę do dyżurki. Muszę się napić kawy. – Tu profesor skinął głową i wyszedł z sali, po drodze przykładając dłoń do czoła uśpionej pacjentki z łóżka pod drugą ścianą.
- Kocie! – mruknęła półgębkiem babka. – Idź za nim. Ja tutaj chwilę z tym dzieckiem posiedzę.

...

Lelka wyglądała świeżo i uroczo w czerwonym swetrze i błękitnych dzinsach. Mokre pasma włosów skręcały się w kędziory. Rajat usiadł na wersalce i westchnął z zachwytem.

- Musimy pogadać! – ogłosiła uroczyście Aurelia.
- A o czym?
- O wszystkim – wyjaśniła rzeczowo dziewczyna.

Rajat, złapany w pułapkę lelczynych oczu, nie śmiał się odezwać. Zegar z kukułką wybił beznamytnie piątą po południu. Jak okiem sięgnąć, za oknem rozciągała się rozproszona bielą śniegu zimowa noc.

- Jak to jest...? – Aurelia westchnęła głęboko i zamilkła.
- No? – zachęcił ją chłopak.
- No więc, jak to jest, że mi mówisz o podróżach, hotelach i wielkim świecie, a tu przyjeżdżasz z prababką biedę klepać?

- Biedę? – podrapał się po brodzie chłopak.
- Sam widzisz, ile prababcia Olesia ma emerytury!
- Czego? – zdumiał się Rajat.
- No, pieniędzy na żarcie, matołku!
- A to na żarcie w domu pieniądze są potrzebne? – zdębiał chłopak. – Bo w restauracji to rozumiem.
- U ciebie w domu się jedzenia nie kupowało? – prychnęła Lela.
- A nie, nie przypominam sobie, prawdę mówiąc.
- To skąd się, do cholery, brało?
- No... służba przynosiła.

Kukułka schowała odrapany dziób do postkomunistycznej budki zegara. Fajerka osunęła się z niemiłym zgrzytem z kuchni, a Aurelia wpiła szeroko otwarte ze zdumienia oczy w Hindusa. Najwyraźniej jego polonizacja była powierzchowna i przeprowadzona po łebkach.

- Rajat? – zapytała ostrożnie.
- No?
- A ty masz jakieś pieniądze?
- Mam! – odparł radośnie chłopak.
- A czemuś babce na żur nie dołożył?
- Nic nie mówiła!
- A na bilety do Warszawy masz? – zaszemrała łagodnie Lela, co najwyraźniej miało zakamufłować jej gigantyczne wkurzenie.
- Lotnicze?
- Nie, na PKS! – wycedziła dziewczyna.

– Mam, Leluś!

– No to postanowione. Za prababką jedziemy, a ty za bilety płacisz!

– No dobrze, dobrze – położył po sobie uszy Rajat i niepewnie się uśmiechnął. – Już dzwonię i załatwiam.

...

Mruczek utrzymywał dystans, ale nie spuszczał z lekarza bursztynowych oczu i skradał się bezszelestnie szpitalnym korytarzem. Profesor, zwany przez babkę Jaśkiem, poczłapał w stronę maleńkiego pokoiku tuż za schodami i zamknął za sobą drzwi. Kotu cudem udało się prześliznąć do wnętrza i przycupnąć w cieniu nieco poźółkłej paprotki.

Lekarz podszedł do stojącego na stoliku ekspresu i podstawił pod dyszę kubek, łapiąc do niego gęstą jak smoła kawę. Od jej zapachu Mruczkowi aż się zakręciło w nosie. Szybko wtulił pyszczek pod lewą pachę, co nieznacznie wytłumiło kichnięcie.

– Kto tu jest? – Lekarz odwrócił się gwałtownie.

Kot zamarł w bezruchu. W pokoju było słychać tylko oddech mężczyzny.

– Zdawało mi się pewnie – mruknął Jaśko. – Starzeje się człowiek i już zaświaty słyszy. O! A teraz jeszcze sam do siebie gadam! Starość nie radość.

Mężczyzna usiadł za biurkiem pielęgniarki i w zamyśleniu wodził palcem po brzegu filiżanki. Trochę trudu to Mruczka kosztowało, ale w końcu dostroił się do fal mózgowych lekarza, i przebierając ostrożnie łapkami, nastawił uszy i zamknął bursztynowe oczyska. Odbierał przekaz.

Żółte liście bezgłośnie opływały spoczywającą na ramionach sześciu mężczyzn trumnę. Kondukt szeleścił z szacunkiem setką zanurzonych w listowiu stóp. Ledwie osiemnastoletni Jaśko

starał się być dzielny, ale raz za razem wstrząsał nim tłumiony szloch. Obok niego szedł ojciec i teraz, gdy mężczyźni w końcu się zatrzymali przed grobem, położył wielką i ciepłą dłoń na ramieniu syna. Ten potężny mężczyzna miał oczy zaczerwienione, ale nie pozwalał sobie na płacz. Chłopców z jego pokolenia uczono, że łzy to wyłącznie kobieca rzecz. Obaj, ojciec i syn, stali z opuszczonymi ramionami, jeden wcale niepodobny do drugiego, ale tak dziwnie sobie bliscy po tej największej z możliwych stracie. Ksiądz podjął modły, ale do Jaśka nie docierało ani jedno słowo. Stał, czując ciepło ojcowskiej dłoni, ze wzrokiem wbitym w białą tabliczkę z czarnym napisem.

Eleonora Stachańska z rodu Krzesimirskich

Urodzona 16 lipca 1919 roku, zmarła 14 października 1959 roku

Kot podskoczył w miejscu jak podpięty do prądu i pokłusował w stronę drzwi. Skakał jak szalony na kłamkę, kompletnie się nie przejmując zdumionym lekarzem, który poderwał się z krzesła i runął w jego kierunku. Zanim dobiegł, Mruczkowi udało się zawisnąć na kłamce. Drzwi odskoczyły ze zgrzytem nienaoliwionych zawiasów, a kot wyprysnął na korytarz i zniknął w mroku klatki schodowej. Tam wyhamował z impetem i przez chwilę nasłuchiwał. Jaśko najwyraźniej nie zamierzał go gonić. Zwierzak bezszelestnie zakradł się do sali szpitalnej, w której przy Oleńce siedziała babka, i wiedząc, że nie zostało wiele czasu do przybycia lekarza, otarł się Szeptusze o kolana i wskoczył na nie. Oparł się łapkami o jej ramię i zaczął szeptać odkryte rewelacje do ucha.

– Co ty, Mruczek, opowiadasz? – zaniepokoiła się babka. – Pewnyś? Przekaz był bez zakłóceń?

– Czysty jak łąza! Waldek Stachański najwyraźniej dzieciaka do sąsiedniej wsi nie oddał, a razem z nim do Warszawy zbiegł.

– W czasie okupacji? Co ty gadasz, kocie? Kto by się wtedy do miasta bez dokumentów na siebie i dzieciaka pchał?

- Może współnika miał co dokumenty załatwił?
- Waldek? – prychnęła babka – ten zdrajca?
- Na trumnie matki było napisane „Eleonora Stachańska z rodu Krzesimirskich” – cmoknął zniecierpliwiony kot.
- O słodki Jezu! Waldek zbałamucił młodszą siostrę partyzanta Michała, co u leśnych poległ? No, Mruczek, to mocno zmienia nasza misję – warknęła babka.
- Zaraz zbałamucił! – prychnął kot. – Jak za niego poszła, to chyba go chciała?
- Tego to my, Mruczek, nie wiemy – wycodziła Szeptucha. – Ale na pewno się dowiemy – dodała złowieszczo po chwili zastanowienia.

Oleńka jęknęła cichutko przez sen, co babkę natychmiast przywróciło do rzeczywistości.

- Kocie, znajdź gdzieś komputer i spróbuj to wszystko sprawdzić, ja teraz ważniejsze mam sprawy na głowie.

...

- Rajat! – roześmiała się tysiącem srebrnych dzwoneczków Aurelia. – Zwariowałeś chyba?

Przed wejściową furtką zaparkował właśnie ogromny, dwupiętrowy autokar, a ze środka wysiadł jasnowłosy kierowca i zachęcająco otworzył luki bagażowe. Lelka złapała uszy torby, i łapiąc w locie kurtkę, wybiegła ze śmiechem z chałupy. Rajat pamiętał o kluczu leżącym nad górną futryną i zanim pospieszył za dziewczyną, starannie zarygłował drzwi wejściowe. Po chwili brnął w śniegu w stronę autokaru.

- Ależ nie! – usłyszał Lelę, która z uśmiechem tłumaczyła kierowcy, że bagażu prawie nie ma i nic do luków wkładać nie będzie. – Może inni pasażerowie zechcą...

– Nie będzie innych pasażerów, Leluś – wyjaśnił uprzejmie Rajat. – A po co nam towarzystwo?

Lelka zmarszczyła ze zdumieniem brwi, ale nie skomentowała, i posłusznie wsiadła do autobusu. Rajat ruszył za nią, a kierowca otrzepał nogi ze śniegu i poszedł zamknąć luki bagażowe. Najpierw te z lewej strony. Pewnie by zaprotestował, widząc staruszkę wskakującą ze zwinnością gazeli do przedniego prawego luku, a już na pewno podniósłby alarm, gdyby zobaczył prehistorycznego, zielonego potwora moszczącego się w prawym luku tylnym, ale szczęśliwie dla pasażerów na gapę prawą stronę drogi spowijały ciemności. We wsi znów padły latarnie.

Autokar potoczył się po wąskiej drodze, by po kilku minutach skręcić pod lasem w prawo i leniwie wytoczyć się na szosę białostocką. Lela zapadła w ogromny fotel i położyła torbę na stoliku przed sobą.

– Rajat – zapytała. – A po co tak? Na autobus z Małkinią mogliśmy przecież pójść!

– Kazałaś jechać autobusem, to zamówiłem – uśmiechnął się niepewnie chłopak, siadając naprzeciwko. – Żle coś znów zrobiłem? – spłoszył się, widząc nieodgadniony wzrok Leli.

– Nie, wszystko w porządku – odparła Aurelia i zapatrzyła się w okno autobusu. Za szybą migał ośnieżony las, a ona dumiała o różnicach, które dzielą ją i chłopaka nawet w najprostszych kwestiach. Pomyślcie tylko! Lela kupiłaby dwa ulgowe bilety na autokar, a Rajat zamówił luksusowy pojazd na wyłączność.

Mowę jej odjęło, gdy z tylnej części autokaru wyłoniła się uprzejma kelnerka i zapaliła świece na stoliku. A potem wręczyła osłupiałej dziewczynie kartę dań i bezszelestnie się oddaliła. Rajat zdecydowanie nie wyglądał na zaskoczonego i z zainteresowaniem studiował menu.

– Jejku! – wyrwało się Leli po przeczytaniu kilku pierwszych pozycji.

- Co się stało? – natychmiast zainteresował się chłopak.
- Niby w wielkim świecie nie bywałam, ale te dania jakies dziwne są!
- Poprosiłem o tradycyjne potrawy z mojej rodzinnej posiadłości w Assam. Sam podawałem przepisy, a moja czcigodna matka podpowiadała – wyjaśnił Rajat.
- Kim jest twoja matka? – zainteresowała się Lela.
- Matka pochodzi z równej nam, Józka potomkom, kasty, i posiadała wykształcenie godne księżniczek – nadał się Rajat, a Lela odnotowała podświadomie, że z przyszłą teściową łatwo nie będzie.

Przez chwilę wertowała kartę dań w milczeniu.

- Rajat? – zapytała niewinnie. – A co to jest BB? Mnie zawsze uczyli, że to pokój ze śniadaniem, ale jakoś mi to do okoliczności nie pasuje.
- BB to przywieziona przez czcigodnego pradziadka Józka potrawa z waszych stron przecież!
- Tak? – zainteresowała się Lela. – Jakoś nie kojarzę!
- Bombay Bigos! – wyjaśnił uprzejmie Rajat.
- Aha! A CR?
- Curry Rosół.
- No, ale żuru nie macie.
- No, nie mamy – potwierdził ze smutkiem Rajat. – Wychowałem się na opowieściach pradziadka o niebywałym smaku żuru, i muszę przyznać, że mój czcigodny przodek nie przesadzał.
- Żałuję, że go nie poznałam, ale mamy prababkę.
- Robi najlepszy żur na świecie!

Lela parsknęła z oburzeniem.

– A twój jest tak samo dobry! – natychmiast zareagował chłopak.

Coś tam w nim z szarmanckiego Polaka było, bo gdy po dwugodzinnej romantycznej kolacji autokar zaparkował z piskiem pod hotelem Marriott, Rajat zerwał się na równe nogi i podał Aurelii dłoń, pomagając jej wysiąść.

– Witaj w Warszawie, księżniczko! – wyszeptał zmysłowo i ukłonił się głęboko.

Lela wysiadła, potykając się o dolny stopień, i powiodła spojrzeniem po okolicznych wieżowcach. Wokół nie było nawet grama roślinności, wszędzie szary beton ciągnący się kilometrami w stronę ołowianego nieba.

– Jakoś obco tu – wyszeptała Aurelia.

W Rajata jakby piorun strzelił. Coś tam powiedział w kompletnie nieznanym Leli języku. Dziewczyna w oszołomieniu obserwowała, jak otaczają ją mężczyźni w białych turbanach, i kłaniając się nisko, prowadzą do wnętrza budynku. Wykręciła głowę i zdążyła zobaczyć, że Rajat stoi w grupie odzianych na czarno rodaków i gorączkowo gestykuluje, a otaczający go ludzie nagle padają na kolana, i tłukąc łbami o warszawski asfalt, najwyraźniej oddają mu cześć.

– Zwariowałam! – sapnęła Lelka. – Zwariowałam i mi się to śni. Po prostu.

...

Znaleźć komputer w państwowym szpitalu prosto nie było. Dyżurka pielęgniarek była spalona, zresztą kot nie miał pewności, czy stojący tam stary pecet miał łącze internetowe. Do recepcji nijak wrócić nie mógł. Dopomogło mu szczęście, i co tu dużo gadać, wrodzony spryt. Mijając maleńki oddział dziecięcy wsadził ciekawski nos do sali dziewczynek. Były

cztery i wszystkie głęboko uśpione. A na białej szafeczce stał otwarty laptop. Mruczek bezszelestnie wśliznął się do pokoju i po chwili zmagania odpalił komputer. Z ulgą ujrzał znajome okno Google i zaczął stukać w klawiaturę. Dziwna sprawa, nie znalazł ani Waldka, ani jego rzekomej małżonki Eleonory. Nie znalazł też interesujących wyników dla Jana Stachańskiego ani dla Jana Krzesimirskiego. Zgodnie z wcześniejszą dedukcją, Szeptuchę przywiodło tutaj żmudne śledztwo zakończone zgoła banalnym wynikiem. Babka wpisała w domowym komputerze hasło Jan Zrębina i wyskoczyła strona warszawskiego szpitala MSW. Jak to się miało do wizji Jaśka? Dlaczego Waldek Stachański nie dał chłopakowi swojego nazwiska albo szlacheckiego miana małżonki? Jak udało mu się ukryć dzieciaka, nie zmieniając mu personaliów? Pytań było więcej niż odpowiedzi, i kot się w tym kompletnie zagubił. Jedno było pewne. Internet nie przyniósł żadnych informacji potwierdzających autentyczność wizji. Jednak Mruczek, jako istota obdarzona siedmioma żywotami i tyloma mniej więcej zmysłami, był całkowicie przekonany o tym, że Jaśka wychowali Waldek Stachański i młodsza siostra partyzanta Michała Krzesimirskiego. Babka kiedyś gadała, że wieś przed wojną należała do hrabiostwa Krzesimirskich. Mieszkali we dworze nad Bugiem. I zdaje się, że właśnie tam należało szukać odpowiedzi. Kot szybko odnalazł linię genealogiczną Krzesimirskich. Gałąź nadbużańska kończyła się bezdzietnie. Zarówno Michał, jak i jego siostra Eleonora byli ślepy mi zaułkami rodu. Reszcie rodziny z terenów Podlasia też się specjalnie nie poszczęściło i linia bezpowrotnie wygasła przed 1950 rokiem. Ki diabeł?

Mruczek zeskoczył bezszelestnie z szafki i pobiegł zdać babce raport. Już w progu sali Oleńki wyhamował gwałtownie. Jaśko właśnie podchodził do chorej i patrzył pytająco w oczy Szeptuchy.

– Śpi niebożę – wyjaśniła stara. – Com mogła, tom jej dała, ale tu szybki przeszczep być musi.

– Wiem, mała czeka w kolejce – lekarz pogłaskał uśpioną Oleńkę

po czole.

Starej nie umknął ten czuły gest. Jaśko wyrósł na porządnego człowieka. Siwe skronie odbijały światło neonów z przeciwnej strony ulicy.

– Jaśko – powiedziała cicho babka. – A jak to z nami będzie? Matuli twojej obiecałam na grób, że cię znajdę.

– Nie pamiętam prawie nic. A ojciec nigdy nie chciał o tym opowiadać.

– Ojciec? – podsunęła chytrze Szeptucha.

– Waldemar, mój adopcyjny ojciec. Od matki wiem tyle, że mnie z rzezi hitlerowskiej wyrwał i do Warszawy przywiózł. Matka więcej mówić nie chciała, a ojciec, jak się tylko o wojnie wspomniało, to dostawał szału. Co wiecie o moich prawdziwych rodzicach? – Lekarz wpił stare, zmęczone oczy w babkę.

– Twoją matką była Andzia, córka leśniczego Wojciecha Zrębiny.

– Znaliście ją?

– Do szkoły razem chodziłyśmy. A ojciec twój to najpierw za mną latał, wiesz? – uśmiechnęła się do wspomnień Szeptucha.

– Jak się nazywał?

– Staszek Wesołowski.

– To czemu ojciec, Waldemar znaczy się, po nim mi nazwiska nie dał, tylko po matce?

– Wiesz, Jaśko, to delikatna sprawa trochę, i ja nie wiem, czy powinnam...

– Mówcie! – zirytował się lekarz.

– Waldek Stachański dziadów twoich i ojców Niemcom na zatracenie wydał – wyjawiała babka po chwili milczenia. – Ja

myślę, że Andzię chciał tak uczcić i jej pamięć zachować, dając ci nazwisko Zrębinów...

– Jak wydał? – Poderwał się na równe nogi Jaśko. – Mój ojciec miałby być zdrajcą? Walczył w Powstaniu Warszawskim, na Pawiaku był! Jakby miał swoich wrogowi wydawać?

– Dawne dzieje, Jaśko. Niemce mu brata porwali i tak go zmusili. Nie frasuj się, synuś. O zmarłych mówi się przecie dobrze albo wcale. Niech Wałdkowi ziemia lekką będzie. Nawet Andzia, twoja świętej pamięci matka, mu wybaczyła. I ucieszy się, jak jej powiem, że cię Stachański na ludzi wychował.

– Masz kontakt z duchami? – wyszeptał zbielałymi wargami lekarz.

– Toć nie dziwota.

– On żyje.

– Co żeś rzekł, chłopcze?

– Mój ojciec żyje.

Punkt widzenia

Pamiętam, jak dzisiaj, siebie z siódmej klasy podstawówki. Takie chude coś łożące po drzewach albo żrące na potęgę wszystko co pod łapy podleciało. I nie raz, pogryzając piętą, kryzysową parówkę – całkowicie bezrefleksyjnie i bez lęku o licznik kalorii – tak sobie filozoficznie myślałam, co to będzie w przyszłości. Jakoś z grubsza umiałam sobie wyobrazić, że po wakacjach pójdę do ósmej klasy i będę o trzy miesiące starsza. Z pewną dumą myślałam o tym, że będę w najstarszej

klasie. Prestiż i te klimaty □

Z pewną obawą, ale jednak wybiegałam też myślami do czasu zmiany szkoły podstawowej na średnią i nawet udawało mi się jakoś to sobie wyobrazić. Co więcej, myśl o rychłej dorosłości, czyli osiągnięciu poważnych lat piętnastu wywoływała pewien dreszczyk emocji przebiegający po chuderławych plecach.

Czasami myślałam sobie o mitycznym roku 2000, który we wszystkich pochłanianych przeze mnie książkach Lema, Bułyczowa, czy innych pisarzy SF i futurologów, jawił mi się jako świat szklanych domów, latających samochodów, wczasów na Marsie i robotów sprzątających w każdym domu. Wizja była tak odległa i nierealna, że liczyłam na niedomytych paluchach i wychodziło mi, że gdy dostanę w tym 2000 roku latający samochód i bilet na Marsa to będę tak koszmarnie stara, że właściwie to pewnie nawet nie będę się umiała cieszyć tymi wszystkimi dobrodziejstwami. Dwadzieścia cztery lata! Czy ludzie poważnie tak długo żyją? A jeśli tak, to czy są w stanie w ogóle załapać, że wchodzimy w nowe Milenium? Co to właściwie miało oznaczać? Czy będę się wówczas chylić nad grobem jak moi trzydziestoletni rodzice? Ile to oni będą mieli wtedy lat, jak będzie ten Sylwester 2000? Prawie pięćdziesiąt?

Miałam nadzieję, że do tego czasu wymyślą latające wózki inwalidzkie.

Podstępna przyszłość nastąpiła znienacka, gdy tylko zajęłam się na chwilę nauką w liceum i kolejnymi arcyważnymi księciuniami, niekoniecznie z bajki. Potem zaczęły się studia i nagle się zorientowałam, że rok 2000 jest już tuż tuż a ja cholera jasna nadal nie dostałam przydziału na autolot i wbrew poprzednim niepokojom jestem ciągle dzieckiem. Dużym, ale zawsze □

A potem przyszła piękna, ale jednak proza życia. W 2000 roku jedyne co latało w moim domu, to mój ukochany mąż po pieluchy do sklepu osiedlowego. Nawet jeśli w oczach nastolatków

byliśmy zgrzybiałymi staruchami, to zdecydowanie tego nie rejestrowaliśmy, bo zwyczajnie nie było na to czasu 😊

Pierwszy raz mną potrząsnęło, gdy przed trzydziestką przestali się mnie pytać o dowodzik, gdy wchodziłam do monopolowego a drugi raz całkiem niedawno w osiedlowym spożywczaku. Niewinnie się zaczęło. Kupowałam bilet na metro.

– Ulgowy? – zapytała osiemnastoletnia (tak na oko) panienska – ekspedientka.

– Już nie – zaryzykowałam dowcip.

– Proszę się nie martwić, od pewnego wieku potem znów obowiązuje zniżka – odparła tryskająca młodzieńczym entuzjazmem dziewczynka.

Nie umiałam się zdecydować, czy to złowieszcza obietnica, czy zwykła informacja, co też wkrótce zdaniem panienski będzie mi przysługiwało.

No tak, moi mili, są pewne kamienie milowe i cezury czasowe, które na chwile wytrącają nas z transu codziennego życia i każą nam się zatrzymać i zadziwić się oszałamiającym tempem galopującego życia. Jednym z pierwszych jest, gdy niewiele młodszy od nas gnojek powie: „Proszę pani/pana!” a potem pojawiają się kolejne zadziwiające zdarzenia.

Na przykład przymierzasz nową kieckę i okręcasz się przed lustrem, myśląc, że w sumie to całkiem jeszcze niezła dupa z ciebie, gdy nagle wchodzi latorośl i mości się na łóżku przyglądając się twoim poczynaniom z przekrzywioną krytycznie głową. A potem nagrywa ją na pytania.

– Mamo, a jak to było, gdy byłaś młoda?

A w twojej głowie rozbrzmiewa (zamiast powyższego) „*Poważnie? To jak byłaś mała to była już elektryczność?*” □

Nie zamierzam się złościć. Zawsze w takich sytuacjach

przywołuję wizję mojej zgrzybiałej dwudziestoczteroletniej osoby w latającym samochodzie w roku 2000.

Choć przyznać muszę, że raz mała nie popadłam w rozpacz ☐

Rzecz działa się mnóstwo lat temu. Byłam młodą matką, lat nie więcej niż dwadzieścia sześć, i jakoś tak się wydarzyło, że w towarzystwie swojej niewiele młodszej siostry spędzałam miły, letni wieczór na tarasie pod gwiazdami. Zebrało nam się na opowieści ze szkolnych czasów. Przysłuchiwały nam się trzy siedemnastoletnie dziewczyny i zaśmiewały się w głos. Po jakiejś godzinie wstały i zaczęły się grzecznie i dość wylewnie żegnać.

Jedna z nich rzuciła się mojej dwudziestoczteroletniej siostrze na szyję i oznajmiła nabrzmiałym od wzruszenia głosem.

– Dziękujemy Wam dziewczyny! Super życie MIAŁYŚCIE!

No jak tu nie kochać nastolatków? ☐

I teraz kochani moi dochodzimy do sedna. Dzisiaj mija mi 40 lat. Kiedyś pewnie bym pomyślała, że ludzie tyle nie żyją ale dzisiaj prężna, młoda i tylko nieco przytłoczona, podnoszę kielich wina w Waszą stronę i pocieszam się, że gdy mój sześćdziesięcioparoletni ojciec onegdaj stęknął, że jest stary, to prawie dziewięćdziesięcioletnia ciocia spojrzała na niego z politowaniem.

– Dał byś spokój, dzieciaku! – powiedziała lekceważąco i upiła herbaty z filiżanki.

A moja mama zdradziła mi pewną życiową prawdę, której zamierzam kurczowo trzymać się aż do setki. My się przecież nie starzejemy. To tylko kostium się trochę marszczy.

Szampan dla wszystkich a zwłaszcza dla mnie!

Jutro będzie po prostu kolejny dzień, prawda? 😊

Szeptucha 8

Bugmunde, 5 marca 1942 r. Świt

Olesia obudziła się nagle i szybko usiadła. Próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest, i jednocześnie uspokoić oszalałe ze strachu serce. Podjęła beznadziejną próbę przełknięcia śliny, ale jej gardło zaprotestowało tysiącem tnących je żyłek. Wstała chwiejnie i rozejrzała się wkoło. Na polanie panowała cisza. Dziewczyna jak przez mgłę pamiętała chłopaka, który czuwał nad jej snem. Spróbowała postawić krok, ale ziemia gwałtownie zafalowała. Olesia osunęła się bezradnie na ziemię i ze zdziwieniem wyczuła pod dłońią wojskowy materiał. Kurtka. Czyli nieznajomy nie był majakiem. Naprawdę tutaj był i pytanie, gdzie znajdował się obecnie. Po młodym ciele Olesi przebiegły dreszcze. Nie było sensu dłużej się oszukiwać. Miała wysoką gorączkę i brak jej było siły na dalszą ucieczkę. Drżącą ręką sięgnęła po kurtkę nieznajomego i z widocznym wysiłkiem narzuciła ją sobie na plecy. Zęby szczękały jej z zimna i walczyła z napływającymi do oczu łzami.

– Obudziłaś się? – usłyszała nagle głos zza pleców i apatycznie się odwróciła.

Nieznajomy blondyn uśmiechnął się ciepło i podszedł do dziewczyny. Jego ruchy były kocie i bezszelestne jak u leśnego partyzanta, nawykłego do skradania się po zdradliwym leśnym poszyciu.

– Chyba jestem chora – wyszeptała bezradnie Olesia, a chłopak obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Zjeść coś musisz, to cię pokrzepi – stwierdził i wyjął zza pazuchy ćwiartkę owiniętego w niemiecką gazetę chleba i pół

pęta kartkowej kiełbasy.

Już sam aromat mięsa oszołomił dziewczynę do tego stopnia, że momentalnie wróciły jej siły vitalne. Chłopak odłamał kawałek chleba, położył na nim pół kiełbasy i podał Olesi. Wpychała posiłek do ust i miała gdzieś, co sobie o jej manierach pomyśli nieznajomy.

– Lepiej? – zapytał chłopak, gdy już ostatnie okruszki zniknęły w ustach Olesi.

– Dziękuję – odparła i zorientowała się, że faktycznie czuje się zdecydowanie silniejsza.

– Posłuchaj. Byłem w chacie tego szmaciarza, co ci mówiłem, i on obiecał, że nas na swoim wózku przemyci na drugą stronę. Musimy przejść tą przecinką i zaraz będzie jego chata. Dasz radę iść?

– Dam – zapewniła dziewczyna i zaraz dodała. – Dlaczego mi pomagasz? Sam łatwiej byś się przekradł.

– Miła Olesiu – uśmiechnął się blondyn, a Olesia zeszywniała na dźwięk swojego imienia, którego z pewnością mu nie zdradzała. – Podobasz mi się, a poza tym jak nas złapią, to powiem im, że jesteśmy małżeństwem i dzięki temu może nie posądzą mnie, że jestem partyzantem. Gwarantujesz pewne bezpieczeństwo – objaśnił z rozbijającą szczerością.

To przekonało dziewczynę i powstrzymało od zadawania pytań. Może w nocy mówiła przez sen i tak zdradziła swoje imię?

Spacer do chałupy szmaciarza wyczerpał dziewczynę bardziej, niż się spodziewała. Oblewał ją pot, za chwilę odczuwała dreszcze, a ścieżka falowała jej przed oczami. Zaciskała jednak zęby i starała się nadążyć za chłopakiem. Dziwne, ale nawet nie przyszło jej do głowy zapytać go o imię. Szedł przed nią pewnie, a jego barczyste plecy przesłaniały Olesi widok. Zresztą wkrótce wszystkie myśli i pytania odeszły w niepamięć.

Stanęli przed drewnianą chatą szmacciarza. On sam wyszedł przed drzwi i obrzucił dziewczynę nieufnym spojrzeniem.

– Nie mówiłeś, że będzie ktoś jeszcze – warknął w stronę blondyna.

– Nie bój się. Dobrze zapłacę – uspokoił go chłopak, a Olesia zaczęła się gorączkowo zastanawiać, dlaczego obcy tak się nią opiekuje. Powody, które przedstawił, brzmiały sensownie, ale w otaczającej ich rzeczywistości egoizm był jedyną szansą na ocalenie skóry.

Szmacciarz wytoczył przed chatę wózek pełen zużytych onuc i brudnych, podartych ubrań. Dziewczyna wołała się nie zastanawiać, skąd pochodzą, i posłusznie wczołgała się pod stertę materiału. Tuż obok niej położył się blondyn. Smród zatkał Olesii płuca i dziewczyna walczyła o każdy oddech. Dopiero po kilku chwilach zorientowała się, że skrzypiący wózek ruszył. Po kilkunastu minutach usłyszała przytłumione głosy i zrozumiała, że właśnie dotarli do rogatek i pierwszego patrolu.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał chłopak i uspokajająco uścisnął jej dłoń.

Olesię ponownie opadły dreszcze. Straciła przytomność.

Kierzbudy, 1 września 2011 r. Kwadrans przed powrotem Aurelki z rozpoczęcia roku szkolnego

– Jak się czujesz? – zapytała Szeptucha Rajata, który omiatał pokój błędnym spojrzeniem. – Herbatki chcesz? No wiesz, mam assam... – wycedziła złośliwie.

– Dziękuję, nie trzeba – odparł słabym głosem chłopak.

– No? – babka zawiesiła pytanie w gęstniejącej z każdą chwilą atmosferze chałupy.

W czwartej kamerze widać było Bolka Stachańskiego, który w towarzystwie Błażeja, swojego bratanka, przemykał cichcem za szpalerem jałowców i przerzucał widłami słoniową gnojówkę na podwórko sąsiadki.

– Jakże się ten twój słoń wabi? – zagaіła łagodnie Szeptucha, odnotowując w pamięci, że Bolkowi kilka uroków się należy.

– Szlachetny pradziad mój, Józwa, nakazał, by wszystkie słonice z tej szlachetnej linii zwały się Lucyna.

– Lucyna? – zdumiała się babka.

– Nie wyjaśnił powodów, a my nigdy nie śmieliśmy pytać o wyjaśnienie. Wybaczcie mój wartki słowotok, pani, ale jeśli mogę objaśnić, to słonica, którą poznać raczyłaś, nazywa się Lucyna Czwarta i jest darem mojej rodziny dla szlachetnego siostrzanego rodu Wielkiego Józwy, mojego pradziada. Tak ojciec przekazać nakazali.

– A ja myślałam, że najgorsze, co mnie dzisiaj spotka, to dąsy Aurelki po pierwszym dniu szkoły – westchnęła ciężko Szeptucha.

– Nie wiem, o czym mówicie, pani – zasępił się Hindus.

– Nieważne – ucięła stara. – Wyjaśnij mi, o co z tym listem chodzi. I nie ściemniaj. Obydwoje z kotem wiemy, że mój Józus tego napisać nie mógł. Zdolności takich nie miał.

Rajat zbladł ponownie i wykonał ruch, jakby miał się ponownie rzucić na kolana i pozbawić łepetynę świadomości w prostym zabiegu tłuczenia nim o twardą posadzkę.

– Ani się waż! – krzyknęła Szeptucha.

– Dobrze. To ja wszystko opowiem. – poddał się Rajat i usiadł na podłodze po turecku. – List pisała moja szlachetna prababka, żona szlachetnego Józwy. On sam jej to nakazał, bo chciał, żeby list był napisany piękną polszczyzną, która była

u nas w domu językiem salonów.

– To brzmi prawdopodobnie – zgodziła się babka.

– To jest szczerą prawdą, o pani! Zechciej zerknąć na drugą stronę dokumentu. Tam zobaczysz szlachetne zdanie skreślone ręką pradziada, który rodzinę naszą doprowadził do dobrobytu i ustanowił jedną z najważniejszych w stanie Assam!

– Dobra, już się tak nie podniecaj, dzieciaku – wymamrotała babka, jednocześnie wyciągając dłoń po pozółkły pergamin i kontrolując czas. Lela spóźniała się już dwie minuty.

Skreślone na odwrocie słowa były mocno wyblakłe i trudne do odcyfrowania. Jedynie bystre oczy Mruczka były w stanie odczytać cokolwiek.

– Olsiu! – rozpoczął kot.

– Chyba Olesiu? – zaniepokoiła się babka.

– Może i tak, ale niewyraźne jest! – wnerwił się zwierzak. – Mogę kontynuować?

– No czytaj, czytaj! – ponagliła Szeptucha.

– „Olsiu! Nie wiem, jak opowiedzieć to wszystko, co mi się przydażyło, odkąd twój pociąg odjechał. Koham cie”. I tyle! – podsumował kot.

– No, w szkole nigdy za mocny nie był – usprawiedliwiła młodszego brata babka. – Ale przynajmniej to jest autentyczny Józek.

– Znaczący, wierzy mi, pani? – uradował się Rajat.

– Mów mi prababko, chłopcze! – odparła Szeptucha, otwierając szeroko ramiona.

A Rajat zrobił to, co zawsze mu najlepiej wychodziło, gdy na polecenie pradziadka wycinał w pień herbacianą konkurencję.

Uniósł się dwadzieścia centymetrów ponad podłogę i pstryknął palcami. Burza z gradem rozpętała się wyłącznie nad polem Stachańskich.

– No, teraz to od razu widać, żeśmy rodzina! – zarechotała paskudnie Szeptucha i skontrolowała zza firanki stopień zniszczeń na polu odwiecznych wrogów. Po chwili odwróciła się i badawczo zlustrowała spojrzeniem Rajata. Na swój sposób młodzieniec był przystojny i dobrze mu z oczu patrzyło. No i te zdolności nadprzyrodzone... Widać Józek jakieś geny ze świętej pamięci matuli też wziął i sprawnie przekazał dalej. Zawsze myślała, że to tylko jej w udziale przypadło, a tu taka niespodzianka. Lelka pewnie go polubi.

Trzasnęły drzwi wejściowe.

– Jestem, prababko! – zabrzmiał melodyjnie dziewczęcy głosik i do izby weszła najpiękniejsza dziewczyna, jaką Rajat kiedykolwiek widział. Stał jak wmurowany i gapił się na nią bez słowa.

– No co? – spłoszyła się Aurelia. – Na twarzy coś mam?

– Masz! – przytaknął drętwym głosem chłopak. – Masz na twarzy najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem!

Aurelka uśmiechnęła się, a babka zatarła ręce z radości. Ciekawe, czy szeptusza matka, a dla tych dzieciaków praprababcia Marysia, ucieszyłaby się, gdyby pierworodna córka tych dwojga odziedziczyła po niej imię? Wszystko było kwestią czasu. I pomysłowości Szeptuchy oczywiście.

Puszcza Biała, 5 marca 1942 r. Późny wieczór

Olesia nie pamiętała, w jaki sposób wydostała się z wózka szmaciarza, a blondyn jej tego nie wyjaśnił. Ocknęła się, gdy promienie słońca ogrzały jej twarz. Usiadła i uśmiechnęła się z trudem do wybawiciela.

– Udało się? – zapytała.

– Witaj w Generalnej Guberni – zaśmiał się szelmowsko. – Jeśli już lepiej się czujesz, to nie traćmy czasu, przed nami jeszcze daleka droga!

Olesia wstała posłusznie i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek mówiła blondynowi, dokąd zmierza. Uznała, że znów mówiła przez sen albo chłopak wie dzie ją w sobie tylko znanym kierunku, który jeszcze do niedawna pokrywał się z jej drogą do domu. Stwierdziła, że na razie nie ma sensu o nic pytać. Czas pewne rzeczy wyjaśni.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu i robili naprawdę krótkie przerwy, tyle tylko, by dać stopom chwilę wytchnienia. Olesia maszerowała dzielnie. Nie poznawała okolicy, ale znajomy zapach lasu, tak inny od ponurych kniei pod Bydgoszczą, niósł otuchę. Serce dziewczyny napełniała powoli nadzieja, a w wycieńczone ciało jakby wstąpił nowy duch.

– Zaraz się ściemni – przerwał milczenie blondyn. – Musimy chyba zatrzymać się na noc.

– Nic podobnego! – zaprotestowała Olesia. – Czuję, że jesteśmy już niedaleko! Idźmy dalej, proszę!

– Jak chcesz – wzruszył ramionami chłopak.

Oczy powoli przyzwyczajały się do gęstniejącego z każdą chwilą mroku, a księżyc litościwie wskazywał im ścieżkę. Olesia dreptała z entuzjazmem, jej serce wypełniła radość zastępująca nieśmiałą nadzieję. Właśnie rozpoznała przecinki za tartakiem, do którego kiedyś przyjechała z tatulem. Jeśli się nie myliła, to do domu zostało nie więcej niż dwadzieścia kilometrów.

– Tu zostaniemy! – zdecydował chłopak i stanął.

– Tutaj? – zaśmiała się dziewczyna. – Zaraz będziemy w domu, to nie ma powodu na noc stawać!

– Ale ja nie powiedziałem, że na noc tu będziemy stawać – odparł spokojnie blondyn. – Ja powiedziałem, że tu zostaniemy. Przynajmniej niektórzy z nas.

Odwrócił się powoli i światło księżyca ukazało jego twarz, z której płatami odpadała skóra. Spod skóry wyzierały opalizujące łuski. Uśmiech spadł na mech wraz z posiniałymi wargami.

– Pożyczyłem sobie skórę od szeregowego Ulricha. Tego, który ci się tak przyglądał, pamiętasz? – wysyczał dusioł.

Olesia jak przez mgłę przypomniała sobie grupkę Niemców i trzask rozbitej na bruku butelki.

– Czytasz w myślach, prawda? – odpowiedziała pytaniem.

– No pewnie – przytaknął stwór, otrząsając się z resztek Ulricha i prezentując oślizgłe, pokryte łuskami cielsko.

– Czego chcesz ode mnie? – krzyknęła histerycznie Olesia, powoli się wycofując.

– Chcę cię zjeść.

Prostota tego stwierdzenia kompletnie kłóciła się z wszystkim, czego dziewczyna doświadczyła przez ostatnią dobę. Roześmiała się.

– To mogłeś mnie zeżreć w tamtym lesie! Po co byś mnie aż do domu miał prowadzić?

– A po co wy dusicie mięso na wolnym ogniu? Ja pieczonego nie znoszę. Mój obiad kruszeje pod wpływem okoliczności. Tu, na przykład, złamanej nadziei.

– Nie wierzę! – wrzasnęła Olesia.

– Czasem się ma chęć na szybki chleb ze smalcem, a czasem na bigos, który dochodzi na wolnym ogniu przez kilka dni. – wyjaśnił uprzejmie dusioł.

Uwierzyła.

A potem wydarzenia nabrały tempa.

Potwór podbiegł do Olesii z obnażonymi kłami, dziewczyna odskoczyła w bok i poczuła na ramieniu muśnięcie wiatru.

Nie bój się. To ja, Lucyna. Jestem z tobą.

Olesia uchyliła się i schowała za brzozę. Tam pieszczotliwie połaskotał ją po karku cień.

Olesia, nie daj się. No nie daj się, dziewczyno! Dokop mu, Szczurku!

Tak mówił do niej tylko Antek. Olesia odwróciła się w stronę jałowców i przerażona pobiegła przed siebie.

– Mamo! – krzyknęła spanikowana. – Mamo, ratuj!

Dusioł był tuż za nią. Dyszał z podniecenia i mlaskał ozorem.

Olesia wyhamowała i odwróciła się. Ścieżkę oświetlił migotliwy blask, a to pozwoliło jej zrozumieć, że nie jest sama.

– Nie boję się ciebie! – wykrzyczała potworowi w pysk i rozbłysła purpurowym światłem. Z jej dłoni popłynął dym i otumanił dusioła. – Będziesz mnie słuchać! – rozkazała. – Zostaniesz w głębi lasu i ludzi żreć nie będziesz!

– Jak chcesz – zgodziła się obojętnie zahipnotyzowana paskuda i umknęła w las.

Olesia odetchnęła głęboko i starła z twarzy zdradzieckie łzy.

Idź za światłem, Szczurku.

Nawet, jeśli Antek chciał powiedzieć coś więcej, to jego głos utonął w szumie brzoź. Właśnie zerwał się wiatr, a zza linii drzew wytoczyła się chmura, zakrywając promienie księżyca. Jedynym drogowskazem było teraz migotliwe lśnienie. Olesia

pobiegła za nim, nie oglądając się za siebie.

Maria stała w oknie, osłaniając dłonią drżący płomień zaszepowanej świecy. Czekała cierpliwie. Wkrótce zza sąsiednich zabudowań wyszła, stąpając ciężko, jej jedyna córka.

– Olesia! – wrzasnęła Maria, wybiegając przed dom boso i w nocnej koszuli.

– Mamo! – załkała dziewczyna, a po chwili wpadła w ramiona matki i chciwie chłonęła ten najwspanialszy na świecie zapach. Poczucie bezpieczeństwa.